

AUTOR CICHEGO GROMU

Dean
Ing



Statek
śmierci

Dean Ing

Statek śmierci

Przekład Andrzej Zieliński

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2 0 2 0

Rozdział 1

„Im dłużej żyję, tym wyraźniej zdaję sobie sprawę, jak niewiele wiem”. To słowa mojego przyjaciela Quentina Kima; wypowiedział je ściszym głosem do mnie i do kształtnej Dany Martin na zajęciach z bezpieczeństwa publicznego na Wydziale Policyjnym Uniwersytetu Stanowego w San Jose. Dana marszczyła brwi, ponieważ była zwolenniczką tradycyjnie pojmowanego zdrowego rozsądku. Ja zawsze chichotałem, bo myślałem, że Quentin stroi sobie żarty. Ale to było wiele lat temu i byłem wtedy młodszy.

To znaczy, wydawało mi się wtedy, że wiem już wszystko. Terminem „bezpieczeństwo publiczne” określało się w szacownym języku akademickim kursy dla gliniarzy i chociaż Quentin zdobył już sobie godną pozazdrosczenia reputację jako licencjonowany detektyw prywatny w rejonie Zatoki San Francisco, nie był jednak wielkomięjskim gliną. Ja nim zostałem, ale w końcu zbrzydła mi zimna wojna między skorumpowanymi gliniarzami a facetami z wydziału spraw wewnętrznych, w której obie strony zabiegały o rekrutów. Bardzo się starałem, żeby nie upaprać sobie rąk tym ich głównym. Straciłem kontakt z Daną, a Quentin widywałem sporadycznie. Służyłem w Oakland jako funkcjonariusz w cywilu, strzegąc bezpieczeństwa publicznego.

I to by było na tyle w kwestii ostrożnego wdepnięcia w to bagno. No, przynajmniej wydostałem się stamtąd z honorem po kilku latach i wciąż mam kontakty w Oakland, po obu stronach wymiaru sprawiedliwości. Tych stron jest nawet więcej; dla detektywa taka wiedza jest na wagę złota. Facet w rodzaju Harveya Rackhama nigdy nie pozwoliłby sobie na zmarnowanie takich kontaktów i właśnie dlatego zostałem prywatnym detektywem, wączaczem, szperaczem; oficjalnie po prostu: Rackham, prywatny detektyw.

Sukces na samym początku potrafi człowieka załatwić szybciej niż ostrze noża między żebrami, zwłaszcza jeśli ktoś myśli, że to pierwsze stało się dzięki jego umiejętności, podczas gdy w rzeczywistości chodzi tylko o łut szczęścia. Moja nowa kariera trwała mniej więcej rok, kiedy wpakowałem się w paskudne zlecenie – porwanie w rozbitej rodzinie. Ojciec porwanego chłopca, geniusz komputerowy z Sunnyvale, tak bardzo chciał odzyskać dzieciaka, że gotów był zapłacić za to spore pienią-

dze. Po kilku dniach frustracji, nie potrafiąc trzymać gęby na kłódkę, opowiedziałem o tym Ernie'emu, mężowi mojej siostry.

Okazało się, że trafiłem w dziesiątkę. Ernie pracował w NASA¹ w Moffett Field i zupełnie przypadkiem znalazł pewnego kanadyjskiego fizyka. Krążyły plotki, że ten fizyk zabawiał się z mamusią porwanego chłopca.

Dowiedziałem się od Erniego, że wspomniany fizyk mówił z akcentem z Quebecu i interesował się karierą nauczyciela akademickiego. Złożył już wymówienie w NASA i nie zostawił adresu do korespondencji. Był katolikiem. Trochę poszperałem i doszedłem do wniosku, że za facetem warto by się rozejrzeć na Uniwersytecie Montrealskim, katolickiej uczelni z francuskim jako językiem wykładowym. Złapałem Boeinga 787 i dostałem się tam jeszcze przed fizykiem. I zgadnijcie, kto czekał z pięcioletnim synkiem w mieszkaniu, które fizyk wynajął w Montrealu.

Ani myślałem zgłębiać powody, dla których mamusia zabrała synka i zostawiła tatusia. Wystarczało, że nielegalnie wyjechała z synem z kraju, wbrew nakazowi sądowemu. Moje honorarium wystarczyło aż nadto, żeby kupić zrujnowany dom na wsi, trzydzieści kilometrów i sto lat od Oakland.

Tak naprawdę o zakupie przesądziła kuźnia. „Kowal, potężne, mocne chłopisko” i tak dalej. Romantyczne bzdury, pewnie, ale, jak już mówiłem, wszystko wiedziałem wtedy najlepiej. I chciałem zbudować wyścigowy pojazd terenowy, jeden z tych z hybrydowym napędem dieslowsko-elektrycznym, które właśnie zdobywały sobie popularność. Nie potrafiłem sobie wyobrazić lepszego życia niż węszenie w okolicach portu w Oakland dla zarobku i chowanie się na moich akrach, kiedy tylko będę miał trochę wolnego czasu, który chciałem poświęcić na majstrowanie przy mojej zabawce, tej wielkiej błyskawicy na kołach.

A Bóg mi świadkiem, że miałem potem mnóstwo wolnego czasu! Nie rozeszła się wieść, że jestem dobry? Kolejni bogaci faceci nie reflektowali na moje kosztowne usługi? Nie była mi pisana wielka kariera?

W trzech słowach: nie, nie i nie. Nie zainwestowałem nawet w szybką stronę internetową, kiedy jeszcze miałem pieni-

1 Urząd państwowy zarządzający programami badań lotniczych i kosmicznych [przyp. tłum.].

dze; miałem tylko swoją linijkę w branzowej książce telefonicznej, więc nie dzwoniło do mnie zbyt często.

Pewnego kwietniowego popołudnia, kiedy męczyłem się pod moją starą, benzynową półciężarówką Toyoty, usiłując ustalić, skąd wycieka olej, bo nie było mnie stać na zlecenie tego komuś innemu, zaćwierkał mój telefon komórkowy.

Quentin Kim; natychmiast poweselałem.

– Myślałem, że jestem dobry w swoim fachu, a tymczasem przeżywam upokorzenie, nie potrafiąc znaleźć czegoś tak wielkiego jak ty – zakpił.

Z niejakim trudem wysunąłem swoje sto kilo spod Toyoty.

– Chcesz powiedzieć, że nie możesz trafić do mojego domu?

– Harvey, trzy razy przejeżdżałem tą wiejską drogą. Mój program nawigacji satelitarnej na nic się nie zdał. Gdzie ty, u diabła, się chowasz?

Nawet kiedy kłął, zachowywał maniery godne lorda. Skoro użył pełnej wersji mojego imienia, musiał być bardzo zniecierpliwiony. Powiedziałem mu, żeby jeszcze raz pojechał tą drogą i że będę przy niej czekał. Po dwudziestu minutach jego Volvo Electrabout skrzyknęło w drózkę prowadzącą do mojej posiadłości.

Wysiadł z samochodu. Wyglądał dobrze; trochę siwych włosów, ale spojrzenie skośnych, kruczoczarnych oczu wciąż bystre i ten sam nieśmiały uśmiech. Utykał trochę, ale zignorowałem to; może uwierały go buty. Przez grzeczność, właściwą ludziom koreańskiego pochodzenia, Quent unikał bezceremonialnego rozglądania się dookoła, ale wiedziałem, że niewiele ujdzie jego uwagi, kiedy wprowadzałem go przez stare, skrzypiące drzwi do mojej oryginalnej kuchni z 1910 roku, z piecem opalanym drewnem. Odprężył się dopiero, kiedy zaczęliśmy schodzić do piwnicy schodami, wzdłuż których posłusznie migotały jarzeniówki.

– Przez chwilę się o ciebie martwiłem – powiedział, spoglądając, tym razem już z wyraźną aprobatą, na moje biuro. Od fundamentów w górę dom był w stylu fin de siecle, ale piwnice urządziłem już w stylu Franka Gehry'ego,² który wybrał się na lot statkiem kosmicznym „Enterprise”. Quent ostrożnie przysiadł na stołku przy moim biurku, przesunął ręką po krawędzi wielkiego, płaskiego monitora.

2 Frank Owen Gehry – słynny współczesny architekt amerykański, m. in. zaprojektował Muzeum Guggenheima w Bilbao [przyp. tłum.]

– Nieźle ci się powodzi, Harve. Niektóre z tych przedmiotów musiały sporo kosztować.

Wzruszyłem ramionami. – Większość sam zrobiłem w pocie czoła. Znam się na klejeniu, trochę na spawaniu i na stolarce; prace ręczne były moim ulubionym przedmiotem w szkole.

– Tylko nie próbuj mi wmówić, że minąłeś się z powołaniem. Zauważyłem, że od roku pracujesz jako prywatny detektyw na własny rachunek. Czy ludzi o ograniczonych możliwościach finansowych stać jeszcze na twoje usługi?

– Będę z tobą szczery, Quent, ale nie rozgłaszaj tego. W obecnym stanie rzeczy każdego stać na moje usługi.

Minął już ponad rok, od kiedy oglądaliśmy razem mecze o Puchar Świata. Zająłem się zaparzeniem mu herbaty w nowoczesnym ekspresie, kiedy informowaliśmy się nawzajem o ostatnich wydarzeniach.

Nie musiałem go pytać, dlaczego utyka. – Sam wiesz, jak niestabilne robią się te schody przeciwpożarowe po jakichś sześćdziesięciu latach – powiedział, zmieniając pozycję nogi.

– Kilka miesięcy temu ścigałem faceta, który zwał po zapłaceniu kaucji. Mieszkał na poddaszu w Alameda i schody zarwały się pod nami. – Uśmiechnął się nieśmiało, żeby uniknąć wyrazów współczucia. – On spadł na chodnik, a ja odbiłem się od pojemnika na śmieci. – Wzruszył ramionami.

– Odstawiłeś faceta?

– Sanitariusze odwieźli nas obu, ale honorarium dostałem – powiedział. – Nie muszę ci mówić, jak służba zdrowia patrzy na naszą pracę, a ja nie należę do najbiedniejszych. Operacja biodra kosztowała mnie o wiele więcej, niż wtedy zarobiłem, a i tak obawiam się, że bieganie już nigdy nie będzie moją mocną stroną.

Splotłem ręce, czekając na dzwonek ekspresu do herbaty.

– Chcesz mi powiedzieć, że pracowałeś jako łowca nagród? – spytałem.

Nie było w tym wyraźnego wyrzutu, ale większość prywatnych detektywów nie pracuje dla facetów, zajmujących się udzielaniem kredytów na kaucje. To ciężka harówka, chociaż można nieźle zarobić, jeśli wynegocjuje się piętnaście procent i doprowadzi potem jakiegoś zabijakę, wartego pięćdziesiąt kawałków.

Popijaliśmy herbatę i opowiadaliśmy sobie rzewne historie, z pewną nonszalancją, bo przecież żadnego z nas nikt nie zmuszał do zostania prywatnym niuchaczem. Rozpowszech-

nione jest przekonanie, że prywatni detektywi zachowują się wobec siebie grubiańsko. Ale najczęściej to tylko mit; chodzi raczej o zdrową konkurencję.

– Chyba nie potrafiłem się oprzeć wyzwaniu – powiedział Quent. – Znasz mnie, zawsze próbuję poszerzyć moje horyzonty. Jako łowca nagród człowiek wiele się uczy, i to bardzo szybko.

– Na przykład tego, że nie można ufać starym schodom przeciwpożarowym – powiedziałem.

– Na przykład – zgodził się ze mną. – Ale zwracasz też na siebie uwagę innego rodzaju klientów. Może nawet dla ciebie będzie zaskoczeniem, że w szczególnych okolicznościach niektóre agencje federalne zlecają śledztwo komuś z zewnątrz.

Moje zaskoczenie nie było tak wielkie, kiedy powiedział mi, że tym razem okoliczności wymagają kogoś, kto mówi po koreańsku i zna portowy światek wokół Oakland. I jeszcze taki ktoś musi się cieszyć zaufaniem Federalnego Biura Śledczego.

– Skóra mi cierpnie na myśl o tych facetach – powiedziałem. – Z moich doświadczeń wynika, że pozwalają miejscowym gliniarzom ponosić całe ryzyko, a potem sobie przypisują zasługi.

– Zasługi możesz sobie wsadzić w kieszeń, Harve. Co nas to obchodzi, jeśli federalni znów będą korzystać z naszych usług?

– Dobrze usłyszałem? Nas? Czyli ciebie i mnie?

– Jeśli się zgodzisz. Potrzebuję dodatkowej pary nóg, może być bioder, jeśli wolisz. A to, że wyglądasz na gliniarza w cywilu, na pewno nam nie zaszkodzi. No i jesteś kawał chłopa, potrafisz o siebie zadbać i może mi to być potrzebne.

Wspomniał o honorarium, łącznie z dniówką i udało mi się nie zagwizdać. – Muszę wiedzieć więcej. Powiedz mi, Quent, chodzi o zapewnienie komuś ochrony? Nie znam koreańskiego, z wyjątkiem tych paru zwrotów, których mnie nauczyłeś.

– To tylko jeden z aspektów tej sprawy. Większość ludzi, z którymi będziemy rozmawiać, mówi po angielsku. Chodzi na przykład o dostęp do kartotek. W tej sprawie chodzi między innymi o zaginionego mechanika ze statku „Ras Ormara”, tram-pa, który przechodzi właśnie remont w stoczni Richmond. Ten mechanik jest Koreańczykiem. Straż Przybrzeżna i FBI chciałyby go znaleźć, ale nie ujawniając, że im na tym zależy.

O Richmond w Kalifornii gliniarze od dawna mówią, że to miejsce wymarzone dla wampirów. W dzień jest tam w miarę bezpiecznie, ale w nocy trzeba się mieć na baczności.

– Zajrzałeś już do policyjnej kartoteki osób zaginionych?
Quent posłał mi spojrzenie, w którym wyraźnie zawarte było pytanie: „Za kogo ty mnie masz?”.

– Nie musisz ci mówić, Harve, że budżet policji stanowej jest więcej niż skromny. Są przeciążeni lokalnymi sprawami. Federalni o tym wiedzą i w tym momencie my wchodzimy do gry; oczywiście, jeśli się zgodzisz.

– Wygląda na to, że nie mam wyjścia. Prawda jest taka, że jestem praktycznie bez grosza. Jak sądzisz, ile czasu ta sprawa może zająć?

Quent wiedział, że tak naprawdę spytałem go, na ile dniówek mogę liczyć.

– Wszystko się skończy w dniu, kiedy „Ras Ormara” wyjdzie z portu; może tydzień. Wolałbym mieć trochę więcej czasu, ale cóż, każda sprawa ma swoje własne tempo.

Była to kolejna stara maksyma Quentina, o której słuszności miałem się wkrótce przekonać. Zapowiadało się ostre tempo i nic dziwnego, że utykający Quentin Kim proponował podzielenie się pracą. Uznałem jednak, że zamiast dociekać jego ukrytych motywów, powinienem mu raczej podziękować, więc zrobiłem to i dodałem: – Nie wiesz o tym, ale proponujesz mi chromowaną ramę do mojego wozu terenowego i kilka rolek siatki na ogrodzenie. Propozycja nie do odrzucenia, ale chciałbym od razu dostać teczkę tego koreańskiego mechanika.

– Stać mnie nawet na więcej – powiedział Quent. – Dorzucę zaproszenie na kolację dziś wieczorem, na koszt federalnych.

– Oni stawiają? Ho, ho, jestem pod wrażeniem.

– No to zaraz będziesz pod jeszcze większym – powiedział Quent z tym swoim nieśmiałym uśmiechem. – Porucznik Reuben Medler ze Straży Przybrzeżnej sprawia całkiem niezłe wrażenie, ale dopiero na widok oficera łącznikowego zaczynasz przecierać oczy.

– Nie sądzę – powiedziałem pełnym powątpiewania głosem. – Wszyscy ci goście wyglądają jak sprzedawcy z IBM.

– W tym wypadku jest inaczej. Możesz mi wierzyć. – Quent powiedział to, uśmiechając się szeroko.

– Mylisz się – nie ustępowałem.

– Jak myślisz, Harve, co stało się z trzecim z naszych klasowych muszkieterów i jak sądzisz, dlaczego do mnie zwrócono się z tą sprawą? Tym oficerem łącznikowym FBI jest Dana Martin.

Musiałem wziąć się w garść, żeby mi szczeka nie opadła.
– Miałeś rację – powiedziałem.